

**JANINA SZYMAŃSKA**  
(17 LUTEGO 1931 – 10 STYCZNIA 2016)



Wszyscy dobrze wiemy, że życie szybko przemija, a to co zostaje, to nasza pamięć o tych, którzy już odeszli oraz nadzieja, że po nas też pozostanie serdeczna pamięć. Chcąc ocalić kilka wspomnień o naszej zmarłej 10 stycznia 2016 r. koleżance, przypomnę kilka faktów z jej życia. Będzie to tekst bardzo osobisty, bo pani Janka użyczyła mi swego domu i niejako włączyła w swoją rodzinę. Kim była? Gdy zadaję sobie to pytanie, przychodzi mi na myśl prosta odpowiedź – Lwowianką. Całe jej życie było wplecione w pogmatwaną, dziwną i często groźną historię drugiej połowy minionego wieku. Urodziła się 17 lutego 1931 r. we Lwowie jako drugie dziecko murarza Tomasza Buczka i jego żony Eugenii, która pracowała w fabryce. Rodzina mogła jednak sobie pozwolić na zbudowanie na przedmieściach Lwowa na Łyczakowie domu, za który ostatnią ratę kredytu rodzice pani Janki spłacili, o ironio losu, w sierpniu 1939 r. Zanim Historia zmieniła na zawsze ich losy, prowadzili zwykłe życie, w którym nie brakowało też rozrywek. Ze zdjęć z tamtego czasu spoglądają ubrane w białe sukienki uśmiechnięte dziewczynki: Janina i jej starsza siostra Irena. Pamiętam z opowiadań Pani Janki, że to zdjęcie zostało zrobione w Parku Łyczakowskim.

Całe życie wracała pamięcią do tego miasta, tak jak wracał do niego poeta Adam Zagajewski w znanym wierszu *Jechać do Lwowa*. Wprawdzie poeta konstatuje: „Lwów jest wszędzie”, ale żeby miasto mogło być wszędzie, musiało być w konkretnym miejscu. Dzieciństwo Janki Buczek upłynęło w realnym polskim mieście Lwowie na Kresach. Zwyczajne życie skończyło się we wrześniu 1939 r. wraz z zajęciem miasta przez Rosję sowiecką. Z dwóch lat spędzonych w rosyjskiej szkole wyniosła dobrą znajomość języka rosyjskiego, która później w dorosłym życiu pomagała jej zdobyć dodatkowe środki na utrzymanie. W 1941 r. przyszedł nowy okupant - Rosjan zastąpili Niemcy. Z tamtych lat zapamiętała strach przed Ukraińcami; miesiące ostatniego roku wojny to czas pogromów. Matka pani Janki chowała wtedy dzieci w ogrodzie, bojąc się napadu sąsiadów, ale pamiętała też, że przed planowanym napadem na ich dom ostrzegł rodzinę inny sąsiad, również Ukrainiec. Po zakończeniu działań wojennych, gdy okazało się, że Lwów nie będzie już polskim miastem, przyszedł koszmar tzw. repatriacji i próba znalezienia nowej małej ojczyzny na Śląsku. Oznaczało to kilkudniową podróż w wagonach towarowych, w których przedtem przewożono cement, gdy więc tzw. transport repatriantów wysiadł na stacji Bytom, Janka ujrzała przed sobą upiorny tłum widm, wszyscy bowiem pokryci byli warstwą cementu. Dzięki temu, że wcześniej na Śląsk powędrowała część licznej lwowskiej rodziny, znaleźli schronienie. Na uchodźców nikt nie czekał, nigdy nie są mile widziani. Mimo to zachowała w sobie coś, co kojarzymy z ludźmi pochodzącymi z Kresów: otwartość, wielkie serce, dystans do siebie, wielką życzliwość dla ludzi, ogromne poczucie humoru, umiejętność ciekawego opowiadania o wydarzeniach i ludziach – czasem było to nieco podkolorowane, ale nigdy nudne.

Każdy, kto zetknął się z Panią Janką, zachował w pamięci niezliczoną ilość anegdot z jej burzliwego życia. Choćby opowieści o licznych wujkach. Jeden z nic, „wujku” Staszku, w czasie okupacji

rosyjskiej postanowił sprawdzić, ile prawdy jest w sloganach propagandy radzieckiej zachęcającej do wyjazdu do pracy w kopalniach Doniecka. Był sprytny, więc zdając sobie sprawę, że nie będzie mógł pisać do rodziny otwartym tekstem, umówił się na pewien szyfr, mianowicie obiecał przysłać swoje zdjęcie: jeśli będzie na nim z fajką znaczyłoby to, że wszystko w porządku, ale bez fajki – wręcz odwrotnie. Długo nie nadchodziła żadna wiadomość, aż wreszcie dotarł list, a w nim takie słowa: „Kochani, tu fotografa nie widzieli”. Zresztą udało mu się uciec pieszo z tej kopalni i z wojskiem polskim dotarł do Polski. Innego wujka, który po wojnie pozostał w radzieckim Lwowie, odwiedziła podczas jedynej wizyty w tym mieście w 1955 r. Sądziła, że trudno będzie go odnaleźć po latach, ale poszła do fabryki, w której kiedyś pracował. Okazało się, że był tam nadal zatrudniony, a znali go wszyscy, bo jak odpowiedział zapytany młody człowiek, to „ostatni pan we Lwowie”. „Wujku” nie przyjął bowiem do wiadomości obowiązującej nomenklatury i nie pozwalał się do siebie zwracać inaczej niż „pan”.

Gdy w 1945 r. rodzice wraz z czwórką dzieci przybyli na Śląsk, najpierw zamieszkali w Bytomiu, gdzie czternastoletnia Janina Buczek od grudnia 1945 do sierpnia 1946 r. zatrudniona była w Dyrekcji Lasów Państwowych. Potem rodzina przeniósła się do Wrocławia, a Janina podjęła naukę w Technikum Ekonomicznym i w 1952 r. zdała maturę. Uprawiała wtedy z sukcesem sport, została nawet wicemistrzynią Polski juniorów w pływaniu. Po wyjściu za mąż za dziennikarza Zbigniewa Szymańskiego, przeniósła się wraz z nim do Poznania. Tu dwa lata (1952-1954) studiowała w ówczesnej Wyższej Szkole Ekonomicznej, jednak rzuciła studia i 1 lutego 1954 r. podjęła pracę w NBP, gdzie pracowała do kwietnia 1955 r. W roku tym przyszedł na świat syn Zbigniew, a rok później córka Ewa. Wychowanie dzieci sprawiło, że kolejną pracę podjęła, zmieniając zawód, w sierpniu 1959 r. jako korektor w nieistniejącym już piśmie Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego „Gazeta Chłopska”. Siedziba redakcji mieściła się przy ul. Dąbrowskiego 77, blisko miejsca zamieszkania. W 1967 r. czasopismo przestało istnieć i Janina Szymańska znalazła kolejną pracę w wyuczonym nowym zawodzie - w Dziale Wydawniczym Instytutu Zachodniego. Mieścił się on wtedy na poddaszu Wagi Miejskiej, a później w tzw. domkach budniczych. Od 1977 r. było to także moje miejsce pracy, pani Janka była więc moją starszą koleżanką.

Redaktor naczelny „Gazety Chłopskiej” Julian Mikołajczak wystawił odchodzącej korektorce piękne świadectwo pracy: „sumienna, pracowita, koleżeńska”. Nie były to gołosłowne stwierdzenia; pani Janka, którą do pracy w Dziale Wydawniczym IZ przyjął ówczesny redaktor naczelny wydawnictwa Antoni Władysław Walczak, *notabene* pochodzący z Włodzimierza Wołyńskiego, była taką osobą. Można było polegać na jej wiedzy, spostrzegawczości, inteligencji i sumiennosci. Kochała książki, do końca życia zachowała ciekawość świata, nigdy nie zarzuciła lektury, cieszyła się każdą nową książką. Mimo tak wielu przeciwności, na które natknęła się w życiu, zachowała lwowską pogodę ducha. Przy kolejnych wymianach dowodu osobistego walczyła o wpisanie Lwowa jako miejsca urodzenia, urzędnicy wszakże wiedzieli swoje. Do końca jedynie słusznego ustroju nie można było wpisać nazwy miasta, tylko ZSRR. Pamiętam rozmowę z urzędniczką, gdy Pani Janka usiłowała wytłumaczyć, że nie urodziła się w ZSRR, ale w Polsce, we Lwowie. Lwów wrócił do paszportu dopiero po 1989 r., ale Janina nigdy więcej nie pojechała do miasta swojego dzieciństwa. Mogła tylko powtórzyć za A. Zagajewskim: „Jeśli Lwów istnieje (...) nie tylko w moim nowym paszporcie”.

Lubiła podróże, odwiedzała mieszkającą z rodziną w Brukseli siostrę Irenę, wybrała się też do Małgosi S., koleżanki córki Ewy, która wdzięczna za ciepły dom na Jackowskiego, zapraszała Panią Jankę do Casablanki w Maroku. W latach późniejszych nie chciała już podróżować, Małgosia odwiedzała ją więc w Poznaniu. Po wyprowadzeniu się z Jackowskiego kolejnych osób i syna, który założył rodzinę, dom opustoszał, stał się jak nigdy spokojny i cichy. Czasem może zbyt cichy. Pani Janka, która z latami stała się krucha jak porcelanowa laleczka, ciągle lubiła dobrą książkę, „konia-czek, kawkę i wonny dymek”. Zachowała chłonny umysł, interesowała się polityką, aktualnościami, Instytutem, no i ukochanymi wnukami.

Jak wspomniałam, w 1967 r. rozpoczęła pracę korektora w wydawnictwie IZ, gdzie pracowała do przejścia na emeryturę dwadzieścia lat później. Praca nad przygotowaniem książki czy artykułu wyglądała wtedy inaczej niż dziś, w dobie elektronicznych nośników. Maszynopis opracowany przez redaktora wracał do korekty wydawniczej w szpaltach, błędów w tzw. gorącym składzie było tyle, że łamano tekst dopiero po korekcie. Pani Janka wraz z drugą korektorką Moniką Dziarnowską najpierw czytywały szpalty z maszynopisem, potem czytały „na sens”, często zostawiając inteligentne znaki zapytania do rozstrzygnięcia redaktora. Praca to niewdzięczna, bo poprawionych błędów nie widać, a nieliczne niezauważone i owszem, wymagała pokory i wręcz benedyktyńskiej cierpliwości, a przeprowadzano trzy korekty i dwie rewizje, był to więc spory wysiłek. W związku z nieplanowym dostarczaniem przez drukarnię złożonych tekstów największe natężenie prac wypadało zazwyczaj w lecie, gdy wszystkie złożone w roku teksty wracały w wielkim stosie szpalt. W czasie „posuchy” pani Janka wykonywała pracę przy wydawanej wtedy przez IZ bibliografię wydawnictw ekonomicznych. Przepisywała wiele stron w języku rosyjskim wydawnictwa ukazującego się w latach 1971-1979 pt. *Ekonomiczieskaja integracija w kapitalizmie. Bibliografija* – rocznika prowadzonego przez Hankę Dmochowską, Jerzego Bartosika i Zdzisława Nowaka. Pracę nad tym wydawnictwem pani Janka z właściwym sobie poczuciem humoru tak podsumowała: „Kapitalizm gnije (oficjalna teza ówczesnej ekonomii socjalizmu), ale jak on pięknie gnije”.

Muszę opowiedzieć także o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce w roku stanu wojennego – 1981. Przeglądając teczkę Pani Janki, znalazłam ciekawy dokument, a mianowicie naganę za odmowę wykonania polecenia służbowego. Pamięć podpowiada mi, o co chodziło. Po szoku, jakim stał się dla nas wprowadzony w niedzielę 13 grudnia 1981 r. stan wojenny, pani Janka postanowiła zaprotestować w bardzo inteligentny i oryginalny sposób. Jak wiadomo, Wojciech Żukrowski, skądinąd niezły pisarz, poparł to działanie ówczesnego rządu, a wielu ludzi podrzucało pod jego dom książki jego autorstwa. Nie pamiętam już, czy pani Janka też to zrobiła, ale zrobiła rzecz inną. Żukrowski napisał książkę pt. *Z kraju milczenia* – tytuł bardzo odpowiedni do sytuacji 1981 r. Obwolotę tej książki powiesiła w poniedziałek na miejscu, gdzie była dotąd ścienna gazetka Solidarności, która jakoś w niedzielę zniknęła. Nie trzeba było innego komentarza, wszyscy zrozumieli. Ktoś doniósł dyrektorowi, więc Pani Janka „otrzymała polecenie służbowe” zdjęcia obwoluty z gazetki. Odmówiła, trochę się drocząc, przecież Żukrowski jest zwolennikiem ostatnich zdarzeń, więc dlaczego? Po jakimś czasie ta sama osoba, która poinformowała profesora A. Czubińskiego, zdjęła obwolotę książki z gazetki, a Pani Janka dorobiła się nagany z wpisaniem do akt. Dzięki temu zachowała się pamięć tamtego wydarzenia. Trochę jak w ulubionym powiedzeniu Pani Janki: „Mrozek by tego nie wymyślił”.

Tak chciałam zakończyć to krótkie wspomnienie o zmarłej koleżance, ale zabrakło w nim jeszcze jednej ważnej Osoby: nieodżałowanej pamięci wieloletniego redaktora naczelnego wydawnictwa IZ, który pełnił tę funkcję do nagłej śmierci w młodym jeszcze wieku, ale o którym trudno nie wspomnieć pisząc o Dziale Wydawniczym lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Pani Janka, jak wszyscy pracownicy wydawnictwa bardzo ceniła i lubiła redaktora Władysława Tomaszewskiego, który był wspaniałym, mądrym i dobrym człowiekiem. Pamiętam, że często powtarzał strofy: „Niespokojne myśli moje, niespokojne serce moje, kiedyż ja się uspokoję”. Wierzę, że oboje osiągnęli ten spokój serca.

Maria Przybył

